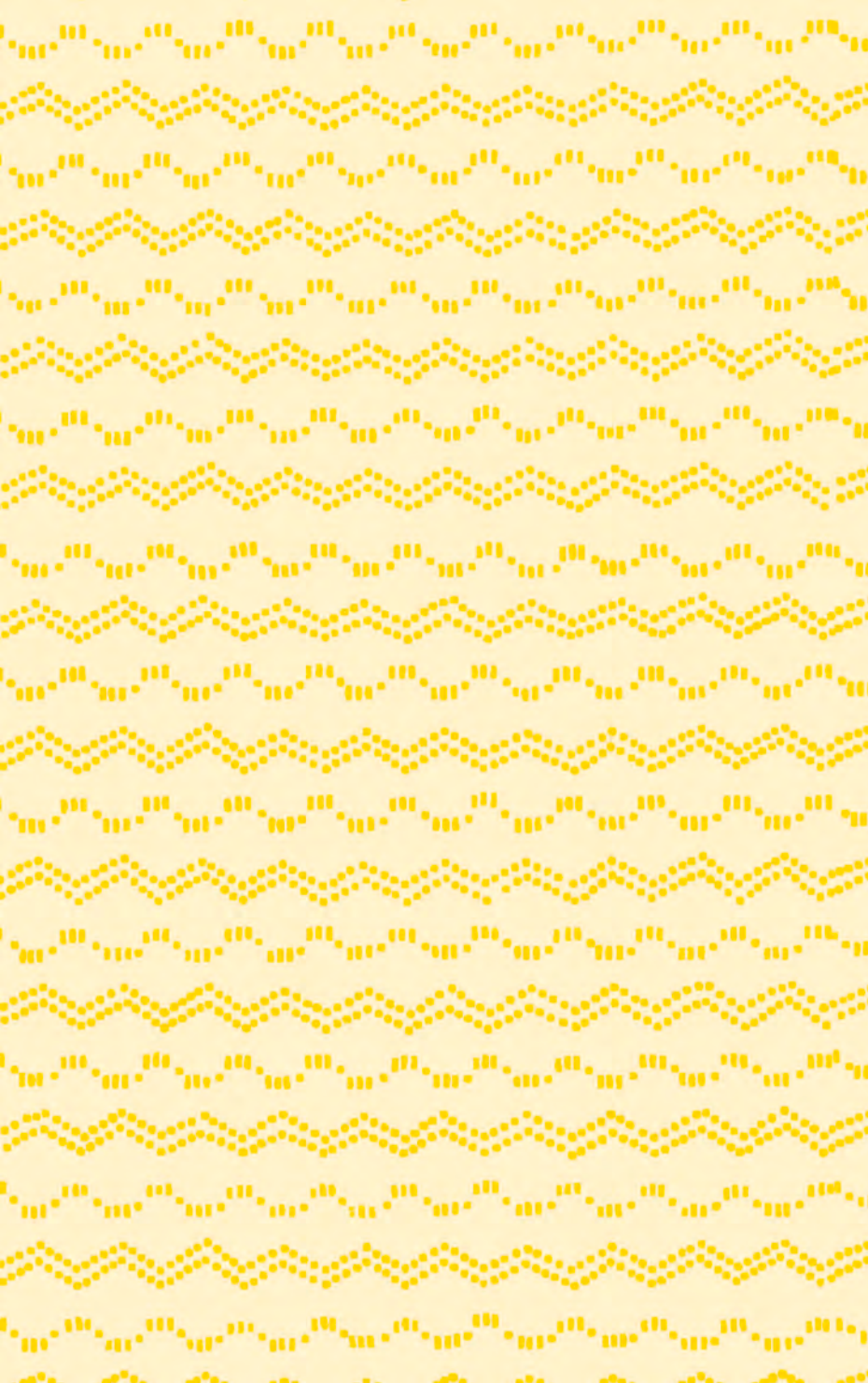


SÁNDOR  
MÁRAI



KRONIKA  
NIEDZIELNA

CZY  
TEL  
NIK



SÁNDOR  
MÁRAI



KRONIKA  
NIEDZIELNA

Przełożyła  
Irena Makarewicz

Czytelnik

Tytuł oryginału  
*Vasárnapi krónika*

© Heirs of Sándor Márai,  
Csaba Gaal (Toronto)

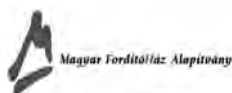
Okładkę i kartę tytułową projektowała  
Maria Drabecka

Redaktor prowadzący  
Anna Rucińska

Redaktor  
Bianka Dziadkiewicz

Korektor  
Agnieszka Fedorowicz

Redaktor techniczny  
Hanna Bernaszuk



Przekład powstał częściowo w Domu Pracy Twórczej Tłumaczy  
Literatury Węgierskiej w Balatonfüred.

A fordítás részben a balatonfüredi Magyar Fordítóházban készült.

© Copyright for the Polish translation  
by Irena Makarewicz, 2019

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2019

ISBN 978-83-07-03452-2

## Od autora

---

Opublikowane w niniejszym tomie artykuły i rozważania ujrzały światło dzienne jako teksty *Kroniki Niedzielnej* w okresie obejmującym lata 1936–1943. Dla każdego z artykułów podaję dokładną datę publikacji.

W momencie gdy teksty te ukazywały się, ich autor nie wiedział, że – na swój sposób, skromnymi i bezpośrednimi środkami publicysty – pisze też historię. Teraz już wie, że składające się na nie wersy utrwalają chwile jednego z najbardziej tragicznych okresów w życiu obecnego pokolenia. Właśnie dlatego artykuły i rozważania w tym tomie udostępniam, nie zmieniawszy ani jednego słowa, ani jednej litery bądź znaku interpunkcyjnego, a dokładnie tak, jak swego czasu pojawiły się pod wspólnym nagłówkiem. Czytelnika proszę zatem o wybaczenie wszelkich stylistycznych niezręczności, które są nieuchronnymi błędami utworów rzucanych na papier przy pośpiesznym tempie pracy. Dla wierności prawdzie zrezygnowałem nawet z tego, by – teraz, w tych chwilach pełnych niepokoju i trosk – tu i tam wygładzić nierówności artykułów napisanych bez prawdziwie literackiej staranności; a przecież pisarzowi przysługuje taki przywilej. Jednakże prawda i wierność temu, co kiedyś wypowiedzieliśmy, ważniejsze są od bezbłędnego stylu.

M.S.



## Pożegnanie

### Zamiast wstępu

---

*3 września 1939*

Teraz, gdy tę ukochaną krainę, która była moją drugą ojczyzną, a która geograficznie nazywana jest Europą, ogarniać poczyna mrok, mrużę oczy, by przez moment postrzegać wyraźniej, i nie chce mi się wierzyć, że to pożegnanie.

Nie chce mi się wierzyć, bo widziałem, wcale nie tak dawno, wczoraj albo przedwczoraj, jak dopiero co przychodziła do siebie z bezwładu wojny, jak wprawne ręce jeszcze odnawiały w jej katedrach poniszczone ozdoby i arcydzieła, w szpitalach jeszcze leczono inwalidów i rannych; nie chce mi się w to wierzyć, bo jeszcze słyszę zapewnienia mężów stanu, polityków, pisarzy, duchownych, krzykaczy, jak nad zbiorowymi grobami przysięgają, że nigdy więcej. Nie chce mi się wierzyć, że ten Weimar, gdzie w bibliotece czytałem listy Goethego, ten Berlin, gdzie uczęszczałem na uniwersytet i gdzie tak słodko i nieświadomie mijała młodość, ten Paryż i Londyn, gdzie przeżyłem młodzieńcze lata pracy, odczuć, doświadczeń, rojeń, pobudzania świadomości i fantazji, jutro mogą się zmienić w pokryty workami z piaskiem teren działań wojennych. Nie umiem pożegnać się z Europą, której krajobrazy widziałem jeszcze wczoraj w słonecznym blasku pokoju: alpejskie szczyty Szwajcarii i różoworude skały wybrzeża Bretanii, cudowne niemieckie miasteczka, gdzie człowieczy duch, z samoświadomością

przepełnioną troską i niepokojem, pochylał się nad zadaniami cywilizacji, francuskie wioski, gdzie załamane promienie światła o zmierzchu podświetlały szare listowie drzew oliwkowych i gęstwę winnic, Paryż, miasto pracy, odpoczynku, wrażeń, radości ruchliwego życia i rozumienia przenikniętego mądrością, Londyn, gdzie człowiecza wola, intencja i poczucie odpowiedzialności stworzyły najdoskonalszy mechanizm współżycia ludzi; widzę białe wybrzeże Anglii, kredowe klify, tak jak ujrzałem je ostatnim razem, w lśniącym wczesnojesiennym słońcu, czuję słono-cierpki zapach morza, który przypomina zapach wolności, widzę jezioro u wrót Genewy, widzę ów przeniknięty kłamstwem, szpetny dom na jego brzegu, widzę zabarwiony brązem półmrok lasów Wirtembergii i Bawarii – widzę cię, widzę i raz jeszcze przywołuję cię, Europo! Nie mogę uwierzyć, że to pożegnanie. Przemierzałem twoje regiony, znam języki – języki mieszkańców tych ziem, doświadczyłem tam ludzkiej dobroci, Bawarczy i chłopci Prowansji okazywali mi okraszoną uśmiechem wspólnotę odczuwania, pamiętam oblicza Polek, Niemek, Angielek, Francuzek, Włoszek, jak uważnie i czule kłoniąc głowy, pochylały się nad człowieczą twarzą, a gdy składają pocałunek, wokół ust omdlewa i zastyga im powaga, oczy zaś nabierają głębokiego i tajemniczego blasku, który jakby dobywał się z owej pracowni, gdzie tworzy się życie – pamiętam twarze Europejek, jak w przedziale w pociągu pochylały się nad dziećmi, zaciskając wargi w wyrazie powagi, oczyma zaś wyrażając: „Nigdy więcej”. Widzę alzackich chłopów oraz małomównych, wykształconych, poważnych robotników z Zagłębia Ruhry, widzę spacerowiczów w Hyde Parku, pamiętam oblicza Bergsona i pani Curie; i nie mogę uwierzyć, że to pożegnanie.



Nie mogę uwierzyć, bo znam siły, które dzierżą władzę nad tą krainą. Niegdyś panowała tu siła rozumu i wiary. Wszak być Europejczykiem znaczy tyle, co pojąć pewne rzeczy i sprawy. A teraz, kiedy rozum, przestraszony nakazem najniższych ludzkich instynktów, cofa się na moment, nie chce mi się wierzyć, że to chwila pożegnania: pożegnania z rozumem i moralnością, z wiarą i solidarnością, pożegnania z posłannictwem i zadaniem Europejczyków. Bo być Europejczykiem wczoraj jeszcze znaczyło tyle, w Sztokholmie i Budapeszcie, w Monachium i Manchesterze, co być solidarnym z każdym człowiekiem, który pragnie zrozumienia. Wy wiecie, moi żywi i martwi przyjaciele, w Paryżu i Monachium, w Oksfordzie i Berlinie, w Warszawie i Rzymie, wy wiecie, że zgrzeszyliśmy, żyliśmy naszymi afektami, byliśmy egoistyczni i zaślepieni, ale ponad egoizmem, gniewem i namiętnością żył w nas, Europejczykach, jakiś wyższy nakaz, wypływający z określonej wspólnej kultury nakaz obowiązkowej solidarności. Wy wiecie, że był taki czas w Europie, kiedy ci sami, którzy dziś lub jutro może już z bronią w rękach staną naprzeciw siebie, by obronić i zniszczyć to najpiękniejsze i największe, co tysiącletnią pracą stworzył duch ludzki, wy wiecie, że było, żyło i oddziaływało europejskie sumienie, a my wierzyliśmy, że prawdziwymi patriotami jesteśmy wówczas, gdy wszystko, co stanowi oryginalne, narodowe cechy i wartość naszej ojczyzny, potrafimy wpasować w wyższą harmonię europejskiej solidarności. Po wielekroć się myliliśmy i popełnialiśmy straszliwe błędy, ale wierzyliśmy w coś, wierzyliśmy w naszą ojczyznę i wierzyliśmy w Europę. A teraz nie mogę uwierzyć, że to pożegnanie i że nie ma już w co wierzyć.

Dlatego nim tę krainę przesłoni żelazna kurtyna,

resztkami siły ducha raz jeszcze zawołajmy ku sobie, wyciągnijmy ręce w ciemności. My mieliśmy tu na ziemi poruczenie, mieliśmy rolę do spełnienia, więcej, mieliśmy – bez względu na to, jak wyświechtane jest to słowo – misję. My, Europejczycy, mieliśmy i mamy wspólne zadanie na ziemi; w żadnym razie nie takie, by zniweczyć wszystko, co stworzyli Kant i Rembrandt, Bismarck i Kartezjusz, Reynolds<sup>1</sup> i Dante, Goethe i Palladio, János Arany<sup>2</sup> i Szekspir. My powinniśmy byli przewodzić światu, dawać przykład rasom i pokoleniom. Spuścizna, którą powierzyło nam przeznaczenie, europejska scheda była zarazem też przeraźliwą odpowiedzialnością – czy wzięliśmy to na swoje barki, czy temu podołaliśmy?... Co uczyniłaś z moją ojczyzną, Europo, i dlaczego nigdy nie słuchałaś tych, którzy proste prawdy chcieli rozjaśnić światłem rozumu? Mieliśmy wszelką moc, by ten kontynent poprowadził świat ku nowemu tysiącleciu; i co poczęliśmy z tą mocą?...

Czy to możliwe, że mimo wszystko jest to pożegnanie? Złowieszczy mędracy wróżyli twą zagładę, Cesarstwo Zachodu, Europo. Złowieszczy mędracy, którzy myśleli już nawet nie w kategorii wojny światowej, lecz cykli wojen światowych, z okrutną precyzją wskazywali, jak ciepłe i żywe formy kultury stygną i sztywnieją w trybach pustej cywilizacji, jak radość życia staje

---

<sup>1</sup> Prawdopodobnie chodzi tu o Joshuę Reynoldsa (1723–1792), angielskiego malarza, jednego z najwybitniejszych portrecistów, kolekcjonera i teoretyka sztuki, założyciela i pierwszego przewodniczącego Royal Academy of Arts. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki).

<sup>2</sup> János Arany (1817–1882) – pisarz, tłumacz, dziennikarz, wielki patriota, uczestnik węgierskich walk o niepodległość 1848–1849, uznawany za jednego z największych poetów i epików w historii literatury węgierskiej.

się rozrywką, odpowiedzialność – bezmyślnie powtarzanym, trajkotanym programem partii, a to, co oryginalne, i to, co narodowe – truizmem przelewającym się ponad granicami państw. Ale to była tylko jedna z twoich twarzy, Europo. Ta druga, ta wieczna, której strzegę w moim sercu, jest wspaniała i ludzka. Teraz, kiedy nakładasz maskę gazową, która może na zawsze zakryje ci tamto inne oblicze, raz jeszcze patrzę w twoje oczy, w te twoje jaśniejące światłem rozumu oczy, a ponieważ nie mogę uczynić nic innego, wyciągam ku tobie ramiona. Widzę cię, przywołuję, i także w chwili pożegnania wołam, że wierzyłem w siły, które powołały cię do istnienia, i póki żyję i mogę mówić, chcę wierzyć, że od terroru instynktów potężniejsza jest siła rozumu i solidarności.

## Wprowadzenie do kontynentu

---

25 grudnia 1936

Chyba potrafię opowiedzieć, jak go sobie przedstawiam – bo już od dłuższego czasu kusi mnie ten pomysł i w tym celu zbierałem nawet rozmaite rzeczy, tak zwany „materiał historyczny”, wycinałem jedną i drugą fotografię z czasopism, z gazet deklaracje polityków, utrwalające moment, gdy w trakcie odpoczynku pod koniec tygodnia, podczas gry w golfa i głaskania psa, z ukontentowaniem paląc fajkę, oświadczają, że niestety, jest problem i nie da się już długo kontynuować w ten sposób; a potem doklejałem tam wykonane z samolotu zdjęcia Brukseli albo Stalina, uwiecznionego w chwili, gdy wygłasza przemówienie i daje rosyjskiemu ludowi konstytucję, albo też zdjęcie wzoru zapalniczki podług najnowszej mody. Wyobrażałem sobie, że wszystko to przynależy do siebie, a w wyniku zsumowania tych elementów powstanie panorama lub wizja, której chciałem nadać taki oto tytuł: *Urażona księga, czyli Historia pewnego kontynentu*. Zanosilo się na książkę pragmatyczną. Lecz teraz już mam przeczucie, że nigdy nie będę mógł jej napisać, bez względu zresztą na to, z jakim zapałem się do tego przygotowywałem; nie będę mógł jej napisać, ponieważ materiał, który jeszcze nie jest dostępny „w całości, kompletnie”, za mojego życia nigdy nie będzie „w całości, kompletny” – chodzi o to, że będzie mógł ją napisać dopiero ten, kto przyjdzie po mnie,

nowy człowiek tego kontynentu, człowiek, dla którego ja i moje wyobrażenie będą już tylko zakurzonym, historycznym wspomnieniem; ja zaś nie będę mógł jej napisać, ponieważ we mnie ten materiał jeszcze żyje, we mnie i w tych ponad czterystu kilku milionach ludzi, którzyśmy wszyscy przyszli na świat zdefiniowany tym właśnie pojęciem: Europa.

My nie możemy tej książki napisać. Podobnie jak człowiek żyjący w czasach wojny trzydziestoletniej nie mógł napisać fachowej książki na temat wojny trzydziestoletniej; być może podejrzewał, że wszystko, co dzieje się wokół niego, ramy jego życia są trochę też historycznymi ramami; ale w każdym razie miał nadzieję, że cały ten nieporządek ma charakter przejściowy i do lutego następnego roku prawdopodobnie się skończy. Trzeba było trzydziestu lat, żeby się skończył; a tymczasem dla niego życie przeminęło. Tak samo dla mnie przemija, w przemijającym czasie, to coś, w czego sferze się urodziłem, a co z początku było jedynie kołyską w domu rodziców, i trzeba było wielu lat, nim dostrzegłem, że ta kołyska stoi nie tylko w pokoju, lecz umiejscowiona jest także w idei, a nazwa tej idei to: Europa. Tymczasem mijało życie, ja zaś zauważyłem, że wyrosłem z kołyski, a i wyrosłem z Idei. Pomyślałem wtedy, że ją opiszę. Ale już widzę, że eksperyment na zawsze utknął na wprowadzeniu.

Z Idei my, Europa i dzieci tego wieku, dość szybko wyrosliśmy; a pewnego dnia zorientowaliśmy się, że w jej miejscu pozostał tylko kontynent. Do tego kontynentu, do tego pojęcia geograficznego wypada raz wreszcie napisać wprowadzenie. Wiele podejmowano prób w tym kierunku. W ostatnim czasie wszyscy, którzy zajmujemy się pisaniem, czyli możliwie trafnym, precyzyjnym

wyrażaniem fermentujących wspólnych myśli, wielokrotnie otrzymywaliśmy z zagranicy formularze, w których obserwatorzy i badacze tej kwestii wzywali nas, byśmy się wypowiedzieli, czy istnieje jeszcze „duch europejski”, a jeśli tak, to kiedy i gdzie, na posiedzeniach którego towarzystwa spirytualistycznego spotkaliśmy się z nim po raz ostatni. Te ankiety zawsze wywoływały we mnie takie wrażenie, jak listy gończe, w których dozorczy i strażnicy podają dokładny rysopis niewiernego ducha europejskiego: „duch europejski”, ten podejrzany fenomen, pewnego dnia zbiegł, był mniej więcej taki a taki, teraz zaś uprasza się wszystkich żandarmów i strażników granicznych, ponadto myślicieli, filozofów, estetów, krytyków, ba, nawet i dziennikarzy, niech nań starannie baczą, a jeśli gdzieś się pojawi, niech go przekażą najbliższemu policjantowi. Z nadesłanych na ankietę odpowiedzi okazało się, że najznakomitsi eksperci boleśnie odczuwają nieobecność ducha europejskiego; jest pierwszorzędny duch francuski, godny pozazdroszczenia duch angielski, zasługujący na uwagę duch niemiecki i takież włoski, czarujący i pociągający duch węgierski; tylko akurat duch europejski przepadł bez śladu. Moją książkę, w której dotarłem tak oto jedynie do wprowadzenia, przeznaczyłem głównie dla chińskiego studenta stypendysty, który po odpowiednich przygotowaniach w 1960 roku wyruszy w drogę, by obejrzeć miejsce swych badań, Europę. Ów celujący chiński student przeczyta wszystko, o czym będzie sądził, że może być mu potrzebne w trakcie objazdu: *Wyznania* Świętego Augustyna i dzieła Renana, pisma historyczne Mommsena, Micheleta, Macaulaya i Carlyle’a, historię silników Diesla oraz historię sztuki opublikowaną przez wydawnictwo Propyläen, a potem spragniony i złakniony zejdzie ze statku

w Marsylii i będzie szukał tego, do czego się przygotował: Europy. Ale nigdzie jej nie znajdzie.

Na tamte ankiety ja sam najczęściej nie odpowiadałem; jestem wszak pisarzem, a nie detektywem i nie lubię brać udziału w takich międzynarodowych śledztwach policyjnych. To sprawa władz. Pamiętałem jeszcze czasy, kiedy przez moment widziałem albo zdawało mi się, że widzę ów ścigany fenomen. Był taki czas – mniej więcej pomiędzy rokiem 1922 a 1926 – kiedy w malowniczych szwajcarskich wioskach przy wybornym białym winie leciwi i pełni dobrych intencji zachodni mężowie stanu formułowali umowy, kiedy Briand całkiem poważnie marzył, że właśnie on będzie pierwszym prezydentem Paneuropy, kiedy w salonach Paryża, Londynu, Budapesztu i Warszawy solidnie wykształceni, błyskotliwi ludzie dyskutowali w wielu językach o tym, czy narody Europy szczęśliwie mają już za sobą dziecięce choroby nacjonalizmu, i dowodzili, że Nowa Epoka nie tylko już się zaczęła, ale wręcz tkwimy w niej po same uszy, z całą tą „stylowością” i ze wszystkimi porozumieniami: Europa znów przejęła rolę kierowniczą na pięciu kontynentach i na kolejnych tysiąc lat zapłodniła cywilizację własną idea. Ci mili i solidnie wykształceni ludzie nie zdążyli jeszcze wypowiedzieć tego zdania w wielu językach, a Vickersowie i Schneidery & Creusotowie<sup>1</sup> już wiedzieli, że znów warto zakontraktować większą ilość stali. Chiński student dobrze uczyni, jeśli pośpieszy się z kuciem i już przed rokiem 1960 kupi bilet na ten objazd. Przed piętnastoma laty Spengler jeszcze miał własny temat: mógł mówić

---

<sup>1</sup> Brytyjska firma Vickers oraz francuska Schneider-Creusot – znane przedsiębiorstwa zbrojeniowe.

o jednolitej Europie, która jednolicie szykuje się na unicestwienie; dzisiaj zmuszony byłby zmodyfikować i uszczegółowić swój tragiczny pogląd. Coś, w czym ja się urodziłem, świat, na który przyszedłem, na moich oczach przestał istnieć; jeszcze nawet nie zdążyłem uruchomić świadomości, a już był wspomnieniem. Przed dziesięcioma laty podróżowałem jeszcze po Europie; dzisiaj podróżować mogę już tylko po Niemczech albo po Finlandii, albo po Francji. Przed dziesięcioma laty poważnie wierzyłem, że pewnego dnia my, węgierscy, angielscy, włoscy i francuscy pisarze, gdzieś się spotkamy i w uroczystej oprawie sprzymierzmy się, by bronić europejskiego ducha; dzisiaj wiem, że nie stawia się przede mną żadnego innego zadania, jak tylko to, by wszelkimi środkami sprzymierzać się – z tymi, którzy do tego celu są zdolni – w imię obrony ducha węgierskiego. Wiemy o tym dzisiaj wszyscy, którzy piszemy, i także każdy z nas z osobna, Łotysze i Portugalczycy też. Przed dziesięcioma laty z łatwością jeszcze używałem takich słów, jak „europejski obraz świata”. Dzisiaj spuszczam wzrok, jeśli ktoś w mojej obecności bezmyślnie powtarza coś w tym rodzaju. Przed dziesięcioma laty – o, ja jeszcze widziałem krajobrazy tamtego świata, nie tylko krainy geograficzne, ale i ludzkie! opowieść snuje tu świadek wielkich czasów, mój drogi Chińczyku! – zdarzało się, że w angielskim pokoju hotelowym albo we francuskiej kawiarni poważnie spieraliśmy się z Norwegami, Niemcami i Bułgarami na temat warunków możliwości istnienia – w ramach Europy narodowej – „autonomii kulturowej”. Mówię, ja to jeszcze widziałem. Ale tego, co widziałem, już nie ma. Zamiast tego pozostał kontynent. Do tego kontynentu chciałbym napisać przynajmniej wprowadzenie.



Ostatnie prawdziwie europejskie zdanie wypowiedział naturalnie Napoleon. Kiedy, zgrzytając zębami, odrzucił precz pokój zawarty w Amiens, tak oto zwrócił się do Markowa, rosyjskiego ministra: „Z przykrością, ze wstrętem rozpoczynam wojnę. Bo raczej i bardziej jestem Europejczykiem aniżeli Francuzem i dokładnie tak samo jak Pan popadłbym w rozpacz, gdybym pewnego pięknego poranka spostrzegł, że Anglii już nie ma”. To było ostatnie europejskie zdanie; zabrzmiało przed stu trzydziestoma trzema laty, z nabożnością zanotujmy ten rok. Stendhal i Goethe jeszcze mogli czuć coś podobnego; aczkolwiek faktem jest, że Goethe miał już pewne podejrzania i obawy. To jest zdanie, którego dzisiaj nie może wypowiedzieć w Europie ani jeden odpowiedzialny mąż stanu – w następnej godzinie zostanie obalony, a może go i zabiją. Europejski mąż stanu, mędrzec bądź pisarz, który dzisiaj nie pragnie, by jedno lub więcej państw europejskich, wrogowie jego ojczyzny, pewnego „pięknego poranka” zniknęło z powierzchni ziemi, nie nadaje się już do swojej roli. Francuski publicysta czy też polityk, który dzisiaj pisze takie oto zdanie: „Jestem raczej Europejczykiem niż Francuzem”, ryzykuje własne życie. Europejski publicysta, który dzięki informacjom pozyskanym z międzynarodowych źródeł nie doszedł do przekonania, że Europa zdradziła Ideę, stanowiącą jedyny pretekst i sens jej istnienia, a dla polityka, inteligenta, żołnierza nie pozostała inna rola, jak wszelkimi środkami bronić tej narodowej wspólnoty, w której – w tej jednej spośród europejskich krain – przyszli na świat, słowem, taki publicysta to podejrzany obcy i nawet nie ma podstaw, by, jeśli trafi on pod nadzór policyjny, protestować na całe gardło. Polityk, który dzisiaj nie opowiada się za

tym i nie pragnie, żeby Europa zginęła, jeśli taka jest cena tego, by przetrwał Naród, nie jest już „politykiem realistycznym”. My, pozostali, którzyśmy naszą narodową samoświadomość jeszcze przez moment utożsamiali z samoświadomością europejską i obstawali przy wszystkim, co jest językiem, pamięcią i prawem, chcieliśmy być pod znakiem Idei europejskiej jeszcze bardziej Francuzami, Węgry albo Anglikami, naturalnie posypujemy sobie głowy popiołem i pojmujemy, że gorzko się myliliśmy. To dlatego nigdy nie napiszę tej książki.

Ale samo wprowadzenie albo przynajmniej jego szkic – teraz to do mnie dociera – napisałem. Chiński student, któremu dedykuję te linijki, być może teraz się urodzi, na sylwestra. Proszę go, by zebrawszy doświadczenia ze swej podróży studyjnej, nie osądzał surowo. Europy, oczywiście, nigdzie już nie znajdzie; lecz znajdzie kontynent obfitujący w naturalne piękno i zabytki.

## Złoty wiek?

---

28 lutego 1937

To będzie wielka niespodzianka, jeśli pewnego dnia okaże się, że to właśnie był złoty wiek. Możliwe, że ten dzień już nadchodzi. Czytelniku, z ręką na sercu, ty nigdy nie miałeś podobnego odczucia? Czy w chwilach, gdy powtarzamy idiotyczne i okropne wyrazy ze słownika dni powszednich, wybuchamy skargą i popadamy w rozpacz, nie błysnie aby podejrzenie, że to wszystko – ten czas, ta tragedia, ta dotykająca nas osobście nieznośna rzeczywistość, te sprawy publiczne i te sprawy prywatne – na ile jest okropne, na tyle też dziwne i opacznie przyjemne, na ile straszne, na tyle też zaskakująco miłe, na ile nieznośne, na tyle też ciekawe? Czy rzeczywiście aż tak nie do zniesienia jest ten świat, ta nasza epoka, jedyna epoka, w której – posługując się mądrymi słowami Jenő Heltaiego – „chcielibyśmy żyć, jeśli to możliwe”<sup>1</sup>? Mimo to „żyjemy” w tej epoce, żyjemy nią; a jeśli zapuszczamy w nią wzrok, to ze wstrętem i lękiem odwracamy się od jej obrzydliwości, wciąż jednak nieśmiało ku niej zerkając, gdyż jest

---

<sup>1</sup> Słowa te przytacza w swojej książce poświęconej Heltaiemu Géza Hegedűs – gdy przed wojną przy okazji ankiety dla „Színházi Élet” (Życia Teatralnego) zapytano Jenő Heltaiego, gdzie i kiedy chciałby żyć, miał on odpowiedzieć: „Tu i teraz – jeśli to możliwe”. Jenő Heltaei (1871–1957) – węgierski pisarz, poeta, dziennikarz, dramaturg, producent, autor tekstów piosenek.

ponętna, kolorowa oraz interesująca. Etykiety, którymi całą ją poobklejano, od pierwszej do ostatniej są straszne; każda z nich jest jak ta na wypełnionych trucizną buteleczkach na leki, trzy krzyżyki i trupia czaszka<sup>1</sup>. I niekiedy rzeczywiście cierpimy i umieramy od tego, co znajduje się w środku. Ale utratę życia spowoduje zawartość każdej epoki, o ile czerpać z niej nawet łykami tylko, acz w sposób nieostrożny; ta nasza zaś, ta przepełniona znojem i rozpaczą, ta wzbudzająca przestrah epoka, o której wszystko już powiedzieliśmy – czyżby jednak to ona była złotym wiekiem?...

W tym pytaniu jest coś frywolnego. Człowiek współczesny, usłyszawszy taki koncept po raz pierwszy, broni się, wzburzony, przeciwko temu przypuszczeniu, powołuje na własne męczeństwo, które jest wiarygodne i dobrej marki, i pokazuje rany. Nie potrzeba szczególnie wymownej argumentacji, byśmy uwierzyli w to, co całymi dniami piszemy i mówimy: to czasy obłąkane, przepełnione jakimś międzynarodowym, ponadrasowym i ponadklasowym powszechnym zagrożeniem życia oraz poniżeniem; to czasy antyhumanitarne, czasy maszyny, epoka piekielnie polityczna, odcinek fali położony na krzywej opadającej. Tę lekcję klepiemy tak, jakbyśmy stali już przed sądem historii. Rzeczywiście, to haniebne czasy. Ma rację człowiek współczesny, który na cały głos się oburza, że powinien być urodzić się sto lat wcześniej albo sto lat później. Prawda jest natomiast taka, że co się tyczy Europy przed stu laty, to wątpię, iżby powszechne swobody, wolność intelektualna i du-

---

<sup>1</sup> Węgierskie oznakowanie etykiet leków pod względem siły działania obejmuje cztery kategorie: + oznacza silne lekarstwo sprzedawane na receptę, ++ – truciznę, symbol # – środki nasenne i uspokajające, ## – środki psychotropowe, narkotyki.

chowa, socjalne warunki życia, zdrowie i powszechne zaopatrzenie mas ludzkich, wolność wyrażania opinii politycznych, niezależność prasy i wszystko to, co, niestety, także dzisiaj jest tak liche, relatywne i niedoskonałe, było przed stu laty szczególnie rozwinięte i aż tak doskonałe, żeby teraz chcieć za tym płakać. Pano wie Europy przed stu laty anulowali w trybie pilnym wszystko, w co zarażone ideami rewolucji francuskiej i geniuszem Napoleona ludy zaczęły wierzyć, na co zaczęły mieć nadzieję i co zaczęły robić. W wojnach napoleońskich wykrwawiło się dziesięć milionów ludzi, a kolejne dziesięć milionów chorych, rannych, zbankrutowanych i wpędzonych w niedostatek nędznie wegetowało w miastach Europy w tamtych wielkich czasach, wyrzekając na epokę, która – w oczach współczesnych – rzeczywiście mogła być strasznie bezcelowa i okrutna. Niespotykane i wspaniałe świtanie dziewiętnastego wieku rozpoczęło się od takiego mroku i dalej się kształtowało przy tak poniżającej cenzurze chroniącej polityczną samowolę i ciemnienie, przy takiej cenzurze umysłu, że żyjący wówczas człowiek miał prawo krzyknąć, iż Europa, ojczyzna rozumu i postępu, na powrót stoczyła się w epokę duchowych i społecznych pradziejów, których bezprawie i bestialstwo wzbudzały trwogę. Ale akurat ten wiek, wiek dziewiętnasty, wreszcie obdarował ludzkość takimi fenomenami rozumu, doświadczenia, rozwoju, humanitaryzmu, o jakich człowiek nigdy przedtem nie marzył. Kapitalizm był jeszcze olśniewająco nowy, był dobry i doskonale funkcjonował w cieniu odchodzącego feudalizmu. Zaczęto rozjaśniać pojęcia pracy oraz własności. Przemówił Pasteur i wszyscy pozostali, którym możemy zawdzięczać to, że chorujące na dyfteryt dziecko nie umiera, chory, któ-

rego ugryzł wściekły pies, nie kona w potwornych męczkach, kobieta w połogu nie traci życia z powodu zakażenia, można się już bez bólu kłaść pod nóż, duża część europejskich robotników mieszka w porządnym warunkach, łazienka nie jest już luksusem, literatura zaś stała się sprawą publiczną mas. Wszystko to przed stu laty nawet nie majaczyło na horyzoncie człowieka. Metternich i car Aleksander jeszcze na poważnie wierzyli, że i bagnietami da się utrzymać szanse europejskiego imperializmu. To były marne czasy dla ówczesnie żyjących – przepełnione niesprawiedliwością i brakiem nadziei, cierpieniem i mrokiem. To były olśniewające czasy, jeśli spojrzymy wstecz; wielka epoka postępu, intelektu, rozwijającej się ludzkiej samoświadomości, sumienia i charakteru... Czy był to złoty wiek? Kartkując sto lat wstecz, w rozpacz i z wyrzutami sumienia zauważamy, że prawdziwy złoty wiek to ten śmiertelnie niebezpieczny i pozbawiony nadziei, ten nasz.

W rozpacz, ponieważ nie wiemy, co z nim począć; z wyrzutami sumienia, ponieważ tylko od nas zależy, byśmy nasycili się jego obfitością, upoiли jego idyllą. Złoty wiek, jeśli spoglądamy nań z przymrużonymi powiekami, z nieco większej odległości, z punktu wysokości kolejnych pięćdziesięciu lat. Powszechny jest pewien poziom życia mas, a zarazem w każdym małym i dużym mieście Europy i Stanów Zjednoczonych przestają albo wążają się bez celu straszne gromady bezrobotnych, pozbawieni nadziei przedstawiciele inteligencji skaczą z mostów, odkręcają kurki od gazu, sklepikarze walczą na tuzinie frontów zobowiązań, obciążeń i ograniczeń, pieniądź stracił wartość w złocie i liczy się tylko towar, ale towar jest nie do dostania, bo zamknięto granice i nigdzie już nie można pojechać

bez paszportu, a pisarza, naukowca i artystę ogranicza się urzędową i społeczną cenzurą wszelkich odmian, jakie tylko można sobie wyobrazić – taki to jest przerażająco głupi, a mimo wszystko złoty wiek. Nieodległy jest dzień, gdy się okaże, że to właśnie była *aurea aetas*, której żałujemy i którą oplakujemy. To była epoka planowania i walki, zgadza się; lecz było w niej jakieś nadzwyczajne, może nieprzyjemne, bolesne, niekiedy nie do wytrzymania, niekiedy wpędzające do grobu i mimo wszystko ludzkie, mimo wszystko wspaniałe napięcie. To była epoka tania i banalna, w której intelektualne potrzeby mas zmniejszyły się w sposób zdumiewający; ale zarazem były to czasy bohaterskie. Nigdy tylu ludzi nie czytało dobrych książek, nigdy takie rzesze nie miały dostępu do prawdziwej kultury, jak w tym właśnie dziwnym i groteskowym złotym wieku. To były czasy głodujących mas, czasy ginącej klasy średniej, czasy przewartościowania wszelkich wartości materialnych i duchowych; a jednak były to czasy, gdy społeczeństwo posiadaczy, bezradnie poddając się prawom rzeczywistości, troszczyło się o ludzi bez pracy i jeśli nie dało się inaczej, żywiło ich, w sposób sztuczny, z obfitości, której na drodze naturalnej nie mogło, a zresztą też nie chciało wprowadzić z powrotem w krwiobieg życia. To były czasy, kiedy trudniej było umrzeć z głodu w miastach i we wsiach Europy, trudniej aniżeli kiedykolwiek przedtem; a zarazem ludzkie rzesze, których rozmiarów nigdy nawet nie przeczuwano, bez nadziei domagały się prawa do pracy. To był złoty wiek, bez złota, to była epoka fillerowego<sup>1</sup> i mamuciego kapitalizmu,

---

<sup>1</sup> Filler – drobna moneta węgierska, grosz. W latach 1926–1946 sto fillerów równało się jednemu pengő.

to była epoka bolszewizmu i faszyzmu, epoka starcia wielkich demokracji, to była epoka kultury maszyny, epoka trzymania szofera i zarazem zabezpieczenia socjalnego, masowego leczenia, robotniczych bibliotek. Nikt nie miał pieniędzy o trwałej wartości, a były to czasy ponadpaństwowych, ogromnych, międzynarodowych majątków. Rynki ugiwały się od surowców, a mimo wszystko był to wiek niedostatku nakazującego przezorność. W sklepach towar już się nie mieścił, wielkie fabryki pracowały jedynie z jedną piątą wydajności, żeby, broń Boże, nie było tak, że każdemu trafią się trzy garnitury i trzy pary butów; a jednocześnie był to wiek rozpaczliwych prób zdobywania rynku. Te czasy upłynęły pomiędzy wojnami prowadzonymi na kilku kontynentach – to był wiek historycznej rzeźni; ale człowiek nigdy nie służył z tak przelękną nabożnością, z tak gniewną pasją, z tak bolesną wiarą i oddaniem pokojowi, jak w czasach największych w historii zbrojeń. To był wiek maszyn, które, jak się zdawało, wytrącały człowiekowi z ręki chleb; lecz ostatecznie zauważyliśmy, że maszyna wciąż stwarza nowe możliwości pracy i zatrudnia takie masy ludzi, nawet pośród walk o płace i przy kryzysie popytu, jakich nigdy wcześniej nie był w stanie zatrudnić żaden system produkcji ani ustrój. To był wiek zamkniętych granic, zdewaluowanych walut, politycznych intryg i podejrzeń węszących przy szlabanach granicznych; ale nigdy jeszcze nie podróżowały takie tłumy, jak w tych latach, gdy już w ogóle nie można było podróżować, bo nie było na to nadmiaru pieniędzy, bo do postąpienia każdego kroku potrzebny był paszport, bo banki emisyjne nie dawały waluty. To był wiek wielkich masowych podróży; ludzie, któ-



rzym nigdy się nie śniło, że kiedykolwiek dotrą do Besenyő<sup>1</sup>, teraz dotarli na Zachód, a ludzie, którym nigdy się nie śniło, że kiedykolwiek będą mogli wyjechać na całe trzy tygodnie nad Balaton, teraz, pomiędzy dwoma okresami bezrobocia, pewnego dnia zauważyli, że letnie wakacje spędzają nad Morzem Śródziemnym. To był cudowny wiek. Bez żadnej nadziei. Nie do wytrzymania. Jak się wydaje, ze wszystkim tym łącznie był to jednak złoty wiek.

Bo wszelkie znaki wskazują na to, że ludzkość rozwija się ku coraz wyższym poziomom; wcześniej jednak trzeba zapłacić za każdy krok, zapłacić krwią i cierpieniem. To był złoty wiek, najdziwniejszy; i zapłacimy za niego. Po złotym wieku zawsze następuje wiek żelaza. To był ten czas, gdy człowiek latał już na wysokości trzydziestu tysięcy metrów, a rzesze ludzi, którym burczało w brzuchach, przyglądały się temu, przywierając do ziemi. Mimo wszystko to był cudowny czas. To był czas, gdy mnóstwo ludzi wystąpiło o odłączenie telefonu, bo nie byli w stanie zań płacić, a jednocześnie drugie tyle innych ludzi podłączyło sobie telefon, bo każdą kieszeń wypełniały im cudowne akcesoria i zabawki techniki, którymi my wszyscy nie mogliśmy się nasycić. Nie mieliśmy pieniędzy, ale w tym świecie bez pieniędzy, za to z szarpaniną i miotaniem się, rozbłyskiwały wspaniałe kariery; i chyba nigdy talentu i osobowości nie doceniano aż do tego stopnia, jak w tym biednym, ubogim w talenty i osobowości świecie. Świat nigdy nie był tak bogaty, tak komfortowy, tak ekscy-

---

<sup>1</sup>Besenyő jest składową wielu nazw mniejszych miejscowości w różnych częściach obecnych oraz historycznych Węgier.

tujący i ciekawy; i chyba nigdy nie był aż tak pozbawiony nadziei. To był złoty wiek, który każdego dnia błogosławiliśmy i przeklinaliśmy. Mówiliśmy, gorzej już być nie może; i musimy się do tego przyzwyczajać, patrzeć chłodnym okiem i czekać na dzień, gdy zauważymy, że wcale nie był taki straszny – zauważymy, że niestety już się skończył, a w jego miejsce rozpoczyna się wiek żelaza.

## Czterdziestoletni mężczyzna

---

7 marca 1937

Mało się mówi o czterdziestoletnim mężczyźnie. Bez przerwy mowa jest o „młodych”, przy czym nie podaje się dokładnie, kim są ci młodzi, ci tak na czasie, od jakiej granicy wieku się zaczyna, a gdzie kończy ta będąca sprawą publiczną młodość, i mowa jest o starych, których wspomniani wcześniej młodzi dopingują kiedy niekiedy niedwuznacznymi aluzjami, że już pora, by swoje miejsce przekazali tym, którzy czują, że nie mają czasu na dalsze wyczekiwanie. Atmosfera jest nieco nerwowa i wśród całkiem młodych, i wśród starych; nerwowa, przeniknięta urazą i nierzadko tragizmem. Obok hasła „miejsce dla młodzieży” od czasu do czasu rozbrzmiewa ponuro owo przepełnione większym żalem i smutkiem hasło „miejsce dla starych”; dzisiaj wszyscy myślą w kategoriach teorii pokoleń, właśnie takie przedstawiają programy, domagają się uznania ich za obowiązujące oraz wprowadzenia w czyn. Pomiędzy tymi dwoma wielkimi frontami, pomiędzy frontem młodych i frontem starych, pomiędzy frontem tych, którzy wysuwają żądania, oraz tych, którzy obstają przy swoim – a to, czego żądają, oraz to, przy czym obstają, to nie tylko chleb, lecz także władza nad umysłami i światem, w całości, bo targowanie się i ostrożne dzielenie się wyszły z mody! – pomiędzy tymi dwoma frontami żyją gdzieś czterdziestolatkwie. Nie mają

własnej partii. Nie mają własnego ruchu. Są już nazbyt starzy i doświadczeni, by podążać z watahami młodych, i nazbyt rozczarowani i podejrzliwi, by bez zastrzeżeń śpiewać chóralną pieśń starych. Niekiedy wybrzmi jakaś przemowa, odezwie się jakiś artykuł w ich interesie, w interesie owej „siwiejącej młodzieży”. Gdzieś oni żyją, bez własnego ruchu; a ponieważ żyją w czasach, kiedy to zdaniem amerykańskich romantycznych lekarzy i obserwatorów społeczeństwa „życie się zaczyna”, to nie tyle hasłami, ile raczej działaniami dają znak, jak sobie to życie wyobrażają. Są w wieku, gdy na pytania stawiane przez życie człowiek zmuszony jest odpowiedzieć nie hasłami, lecz własnym dziełem.

Teraz jeden z nich odpowiedział; a ja od miesiący nie potrafię zapomnieć tej odpowiedzi. Wciąż mi się ona przypomina, w trakcie pracy; i zawsze coś mnie powstrzymuje przed tym, by o niej mówić – powstrzymuje mnie wstydlivość, tak jakbym miał mówić o najbardziej intymnej, osobistej sprawie. Tę francuską książkę, której tytuł brzmi *Dziennik czterdziestoletniego mężczyzny*, napisał Jean Guéhenno<sup>1</sup>; to właśnie jej wspomnienia nie potrafię zatrzeć. Jakbym w tym tekście czytał o moim własnym losie. Od miesiący słyszę głos tej książki, nawet we śnie. Wspólnota losu, wspólnota przeżyć, która do mnie przemawia z kart tego tomu, zobowiązuje mnie, zobowiązuje nas wszystkich, którzy żyjemy bez partii, bez odznaki i bez własnego ruchu, za to pod znakiem bycia osobą w wieku czterdziestu lat, zobowiązuje nas do tego, żebyśmy odpowiedzieli – nawet

---

<sup>1</sup> Jean Guéhenno (1890–1978) – francuski pisarz, eseista i krytyk literacki. Tom, o którym mówi tu Márai, to wydany w 1934 roku *Journal d'un homme de 40 ans*.

nie na tę książkę, na to wielkie wołanie, lecz na pytanie żywe w sercu każdego Europejczyka, który zbliża się do czterdziestki albo ją akurat przekroczył, na pytanie, któremu dał wyraz ów francuski pisarz. Słyszę głos tej książki; przemawia z taką siłą, z takim smutkiem, jak jeszcze nigdy nie przemawiała do mnie ludzka dusza. Słyszałem mądrzejszych, większych, bardziej moralnych i silniejszych. Lecz to, o czym on mówi, to właśnie moja sprawa, i jest mi pokrewny, ten nieznajomy – a przynajmniej w naszych stronach mniej znany – czterdziestoletni pisarz francuski. „W połowie drogi życia człowieka... to sformułowanie jest banalne, ale dla czego miałbym go unikać, skoro prawdą jest, że od tygodni mam je na ustach i w sercu...” – tak zaczyna swoją książkę. To prawda, nie można się przed tym uchylić.

Ta książka nie jest biografią, nie jest też bynajmniej powieścią; pewien człowiek opowiada, jak stał się czterdziestolatkiem, czego oczekuje, czego się boi w tym świecie. Guéhenno urodził się w proletariackiej rodzinie, był absolwentem École Normale, a ze skromnej urzędniczej posady wyrwała go wojna. Największym przeżyciem jego dzieciństwa była bieda, a także wizyta na prowincji złożona przez któregoś prezydenta Republiki Francuskiej. Na uniwersytecie – za „jego czasów” – unosił się jeszcze duch Barrèsa<sup>1</sup>. To jest wyznanie inteligenta, który z kręgu proletariuszy trafił do stanu urzędników na poniewierkę; zmienił nie tylko otoczenie i klasę, ale też ambicję, w głębszym, bardziej duchowym rozumieniu tego słowa. Młodzież, która z ławek

---

<sup>1</sup>Maurice Barrès (1862–1923) – francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, rzecznik poglądów konserwatywno-nacjonalistycznych, związany z ruchem Action Française. Na przełomie XIX i XX wieku odegrał dużą rolę w życiu umysłowym Francji.

szkół wyższych maszeruje do rowów strzeleckich, europejska młodzież, która łatwowiernie klepie o ideałach, wierzy w Europę i w pojednawczą siłę humanizmu, z przepięknie brzmiącymi frazesami na ustach rusza w kierunku dołów z wapnem. To nagłe przejście jest głupie i nieoczekiwane, wybuch tragedii – bezlitosny niemal jak w antycznym teatrze greckim. Pochylając się nad dołami z wapnem w Europie, to pokolenie po raz pierwszy widzi rzeczywistość. Dotychczas żyło w jakiejś klasycznej mgle. Głosiło i uczyło się, że świat niepowstrzymanie kroczy naprzód, ku swym celowym, moralnym, ludzkim, pięknym ideałom. Mechanizm społeczny obiecuje olbrzymie możliwości. A wojna tę wiarę nie tylko zamordowała, lecz jeszcze i poniżyła. Dwudziestoletni Guéhenno i miliony jego towarzyszy niedoli w Europie nie tylko cierpieli i pomarli od tego rozczarowania, ale też, co jest losem ponad wszystko okrutniejszym, przeżyli i wstydzieli się, że żyją. Rozczarowanie, które nosi w sobie to „pokolenie”, jest tak głębokie i bolesne, że większość nie ma odwagi nawet mówić o nim. To pokolenie milczące. Jego milczenie wynika nie tylko z doświadczenia i poczucia odpowiedzialności, lecz także ze świadomości winy. Co należało uczynić? Czy można było coś przeciw temu zarządzić? Gdzie zgrzeszyliśmy? Czy byliśmy zbyt młodzi, żeby przeciw temu protestować, czy raczej nieświadomi i bezradni?... To pokolenie jakby czekało na potwierdzenie, uniewinnienie. A teraz dożyło takich czasów, gdy musi się dowiedzieć, że tego uniewinnienia od nikogo już nie może otrzymać.

Czterdziestoletni mężczyzna żyje z tym rozczarowaniem. Politykę obserwuje z podejrzliwością. Nie może przed nią umknąć i dlatego odpowiedzialnie bierze na

siebie, przynajmniej w Europie Środkowej, hasło *rechts stehen und links denken*<sup>1</sup>; wobec anarchii zawiera sojusz z formacjami zbrojnymi sił bezpieczeństwa, a kiedy stoi „po prawej stronie”, wszelkimi siłami stara się myśleć i działać społecznie. Taka jest większość w Europie Środkowej; naturalnie zdarzają się też wyjątki, ale przeważająca większość zajęła to kiepskie i niebezpieczne stanowisko. Na Zachodzie także czterdziestoletni mężczyzna, podobnie jak młódzież, ustawia się na froncie skrajności; staje w szeregach plutonów szturmowych skrajnej prawicy albo skrajnej lewicy. Co go odróżnia od młodych, którzy po raz pierwszy ruszają teraz do ataku, to świadomość prawdziwego sensu tej walki, jej beznadziejności. Czterdziestoletni Francuz, który stoi „po lewej stronie”, gdzieś pod sztandarem Front Populaire, przy czym ów sztandar jest i narodowy, i czerwony, nie potrafi z prawdziwą nienawiścią myśleć o czterdziestoletnim Niemcu, który maszeruje pod flagą ze swastyką; potrząsa ku niemu pięścią, bo tak sobie życzy historyczny rozkaz dzienny, ale w jego pasji brak owego wywołującego pianę na ustach, głupekowatego gniewu, jaki przepełnia młodych, dla których wszystko to jest jeszcze „ruchem” i „światopoglądem”. Walczy, ale nie nienawidzi; osądza, ale zna tego, o którym wydaje osąd; wie, że jest jednocześnie sędzią i oskarżonym, jak wszyscy, którzy naznaczeni wiekiem czterdziestu lat żyją dzisiaj w Europie. Czterdziestoletni mężczyzna jest w tym wieku, kiedy powinien przejąć spuściznę ojców. Idącą przed nim generację zmogło zmęczenie i opada ona z sił; zgodnie z prawem danym od Boga

---

<sup>1</sup> *Rechts stehen...* (niem.) – Stać po prawej stronie, myśleć jak strona lewa (przyp. węg. wyd.).

i prawem ludzkim to na niego teraz kolej, do niego należy odpowiedzialność, do niego należy obowiązek, by spuściznę uratować. Tej spuściznie przygląda się bez iluzji. Jest w wieku, gdy człowiek wie o życiu wystarczająco dużo, by nie oczekiwać od niego cudów, i wystarczająco dużo, by z nabożnością i tęsknotą odczuwaną wobec przemijającej cudownej przygody zwracać się w kierunku wszystkiego, co potrafi dać życie. „Proszę, czterdziestolatku!” – mówi czas. „Oto spuścizna. Ciesz się jej posiadaniem, śmieję się i zarządzaj, jak zachęca klasyczny przykład”. Lecz spadkobierca być może nigdy nie odczuwał własnej odpowiedzialności w taki sposób, w jaki odczuwa ją to starsze pokolenie. Bo kiedy powinien był poznać życie, poznał śmierć. Kiedy jeszcze mógł się uczyć wierzyć, nauczył się popadać w rozpacz i odczuwać wstyd. Wyszedł od humanizmu, ale cofnął się w obawie przed anarchią. Przed stu laty każdy czterdziestolatek był w duszy nieco dandysem; dzisiaj każdy chce być bezimiennym tyrającym, kimś, kto ze skrywaną świadomością winy tkwiącej w jego własnej osobowości może się schować za pracą. Nigdy jeszcze żadne pokolenie nie przejmowało spuścizny, wykazując taką podejrzliwość i nieufność. A jednak stoi na swoim miejscu i czegoś strzeże, wiernie. Świadomość wciąż jeszcze ma przepełnioną wspomnieniami okresu świetności, obywatelskiego, mieszczańskiego rozkwitu, w nerwach – odruchy „wielkiej kultury, wykształcenia”, poprzednicy zaś bez słowa przekazują mu stery rządów i insygnia władzy; radź sobie, osiągaj cele, jeśli potrafisz! – mówi ich nieme, podejrzliwe spojrzenie. Stoi na swoim miejscu i strzeże czegoś, o czym nie wie w sposób całkiem pewny, czy to jeszcze istnieje i czy ma taką wagę, by warto było dla tego żyć i za to umrzeć. O włas-



nej doli i niedoli mówi rzadko. Rodzina, klasa, naród, europejska wspólnota losu, wszyscy na niego spoglądają, oczekują od niego cudu. A przecież właśnie to mu odebrali przed dwudziestu laty: cud, wiarę w życie, wiarę w ideały, które brutalną przygodę życia napełniają wspaniałym napięciem. To pokolenie jest godne zaufania; tyle że ono samo niczemu już nie ufa.

Niczemu? „Nie mówię, że niebo jest puste” – wykrzykuje w ostatnich wersach ten czterdziestoletni Francuz. „Czuję w nim wieczność; wieczność człowieka...” Słowa, piękne słowa? Być może ostatnią rzeczą, jaka pozostała temu pokoleniu, jest zdolność do patosu. Bez patosu nie ma wielkości. I krzycząc ze swego nędznego położenia ku niebu, obrabowany i zarazem obciążony wszelką odpowiedzialnością, czując depreczą mu po piętach całkiem nową, barbarzyńsko głośną i wolną od patosu młodą ludzkość, za którą jest odpowiedzialny, dla której wije gniazdo i której winien coś po sobie pozostawić, jeśli do grobu nie chce zejść w pohańbieniu – z ludzkiej nędzy wykrzykuje ku niebu swą wiarę w wieczność człowieka. I z siwiejącą głową, badawczo zapuszcza wzrok w czas, nasłuchuje: czy gdzieś usłyszano jego słowa?...

## Biedny Winnetou

---

4 kwietnia 1937

Wszędzie tam, gdzie czyta się i mówi po niemiecku, wspomina się w tych dniach pisarza, który zmarł dokładnie ćwierć wieku temu, a jego spuścizna to nie tylko sześćdziesiąt tomów powieści przygodowych, które nam pozostawił, lecz i gatunek, który wynalazł i który wciąż żyje nie tylko w literaturze. Ten pisarz to Karol May, gatunek zaś, który wynalazł i pozostawił światu w spadku, to karolmayizm. Nie znam lepszego słowa na tę spuściznę. Autor zmarł przed ćwierćwieczem, a jego utwory rozeszły się w niemieckim świecie w nakładzie siedmiu milionów egzemplarzy; wydań zagranicznych w ogóle nie potrafimy zliczyć. Wątpliwe, by żył obecnie w Europie i w Ameryce człowiek piśmienny, w wieku od trzydziestu do sześćdziesięciu lat, który nie zareagowałby, słysząc nazwisko Karola Maya, i nie przypomniał sobie jednej i drugiej godziny z dzieciństwa, gdy – leżąc na brzuchu w uczniowskim pokoju – z rozczochranymi z podniecenia włosami, z błyszczącymi oczami pochłaniał, pożerał, z drzeniem przeżywał od pierwszej do ostatniej strony powieść, na której okładce Old Shatterhand albo Winnetou dopiero co okazali łaskę jakiemuś złoczyńcy; w tle zaś kwitną krzewy pampasów albo wulkan pluje lawą i dymem. Amazonka i Missisipi niosą tubylców uciekających w wąskich czółnach, Irokezi – dobrze mówię? – kogoś akurat skalpują i już

na stronie tytułowej Zło spotyka należna kara, Cnota zaś zdobywa zasłużoną nagrodę; a najbardziej cudowne jest to, że wszystko to wynaleziono w Lipsku, przed pół wiekiem. W ciągu pięćdziesięciu lat dwa pokolenia pożarły w siedmiu milionach egzemplarzy tę przygodę, płąwały się w pierwotnym, prymitywnym uroku rozlewającym się z utworów saskiego autora. Przed jego cza-rem nie można było się uchronić; kto w młodości nie poświęcał się Karolowi Mayowi, tak naprawdę nigdy nie był młody. Jego wpływ był zagadkowy i szamańsko-magiczny, jak każde masowe oddziaływanie literackie.

Duchowy twórca Winnetou i Olda Shatterhanda – nie mówiąc już o Karze Ben Nemzim, który, jeśli dobrze pamiętam, był tożsamy z naszym kochanym Oldem Shatterhandem! – młodość spędzał możliwie w więzieniu. Podobnie jak tak wielu bohaterów jego powieści, to piąte dziecko biednego saskiego tkacza (piąte z czternaściorga!) w małym jedynie stopniu cechowały we wczesnej młodości wrażliwość i pojętność co do wielkiej idei własności prywatnej. Przyszły pisarz urodził się w nędzy, wychowywał się w nędzy, do piątego roku życia był ślepy, potem został złodziejem, przywódcą bandy. Nim zaczął pisać, wiele lat siedział w więzieniu. Ta młodość, która w istocie była bardziej awanturnicza aniżeli wszystko, co Old Shatterhand mógł przeżyć na pampasach, cudownymi pobocznymi ścieżkami zabłądziła na teren myśliwski literatury, gdzie nagle poczuła się jak u siebie w domu – dla niegdysiejszego przywódcy bandy literatura była przygodą, sferą, w której niemal bezkarnie mógł się wyżyć, dać upust wszystkim swym niewyraźnym, stłamszonym, zastraszonemu, urażonemu popędowi i namiętnościom. Niemal bezkarnie, jako że później w życiu literackim musiał zauważyć, iż

poła myśliwskie świata umysłowego są tak samo pełne zasadzek, jak prerie Dzikiego Zachodu, a Wielki Duch, który w zasadzie jest szlachetny i rycerski i sufluje działania swym czerwonoskórym wyznawcom, w stosunku do cierpiących ludzi wykazuje się dużo większą życzliwością niż Wielkie Duchy literatury, nie mówiąc już o krytykach, tych pobocznych postaciach literackich polowań na skalpy, krytykach, którzy z tak zabójczą wprawą strzelają z tej gęstwy zatrutymi strzałami. Nie, biedny Karol May, po tym jak ze złodziejstwa nawrócił się na literaturę, niewinnienia nie otrzymał za darmo; przeciwnicy wciągnęli wtedy już popularnego pisarza w literackie procesy niebezpieczniejsze od polowania na jaguary, wywlekli mu jego przeszłość, oskarżyli, że jego wiedza o wszystkim, o czym pisze, jest jeszcze bardziej mglista niż tumany pyłu na pampasach, ubliżali mu, że nigdy nie był na Zachodzie ani na Wschodzie, a wszystko, co w swych powieściach przedstawia głosem mówiącym w pierwszej osobie liczby pojedynczej, wyssał z palca – jakby można było obdarzyć pisarza większą pochwałą! Wysoka literatura z grymasem odwróciła się od autora powieści przygodowych, w którego życiu nie podróże, nie więzienie, nie czerwonoskórzy, tylko pisanie było prawdziwą przygodą, zazdrosna literatura ludowa oskarżyła go o to, że jego mowa nie jest „wiarygodna” – ale publiczność nie przejmowała się tym sporem, nie badała, czy ulubiony autor występuje w rejestrze skazanych, lecz z głową wspartą na łokciach pochylała się nad historią Winnetou i tę historię pożerała. Siedem milionów egzemplarzy, licząc siedmiu, ośmiu czytelników na jeden egzemplarz jego książek – a książki Karola Maya podawały sobie z rąk do rąk całe rodziny, dziadkowie – wnukom! – to oznacza, że każdy

Niemiec, jaki tylko żyje na świecie, uległ raz w życiu Oldowi Shatterhandowi. Jeśli był pisarz, który „oddziaływał” na swoje czasy, to właśnie ów nawrócony, biedny przestępca. Jego popularność rozbroiła z czasem również jego przeciwników, z jego utworów odczytywano moralizatorską intencję, doceniano jego umiejętność snucia bajkowych opowieści i siłę obrazowania, ożywiania przedstawień. Doceniać Karola Maya z literackiego bądź moralnego punktu widzenia to odgrywać mądralę i waźniaka. On był Karolem Mayem; a nawet, mocą kreacji, które tworzył, kimś więcej niż zwykłym człowiekiem. Mówi się, że zmarł tak jak Winnetou; w godzinie śmierci krzychał: „Triumf, wielki triumf! Wszystko widzę na różowo!”<sup>1</sup>.

Sam gatunek, karolmayizm, potężnie kwitł w dziecięcych pokojach zdyscyplinowanej, nieco już przywędłej mieszczańskiej idylli u końca jednego i na początku drugiego wieku. Ta epoka była epoką doskonałej maszyny parowej, prototypów samolotu, triumfalnego stylu wilhelmińskiego i powieści Karola Maya. Ludzie mieli poczucie, że ta era i ten świat szykują się do przygody – naturalnie do przygody Cnoty i Zła, z wszelkimi rekwizytami, imperializmem, nieskończonymi możliwościami, pampasami i kolorowymi, których będzie można podbić, z giełdami, akcjami, skalpami i dyplomatami o sokolim wzroku. To była epoka przygody, kiedy to pewne pokolenie wyczuwało węchem, wysubtelnionym bardziej niż u dzikich zwierząt prairii, ozna-

---

<sup>1</sup> *Sieg, großer Sieg! Ich sehe alles rosenrot* (niem.) – takie ostatnie słowa miał wypowiedzieć Karol May 30 marca 1912 roku. Przyczyną jego śmierci było silne zapalenie oskrzeli, dodatkowo powiązane z astmą, oraz zatrzymanie akcji serca, choć podejrzewa się również, że był to rak płuc. Winnetou natomiast zmarł od strzału w pierś.

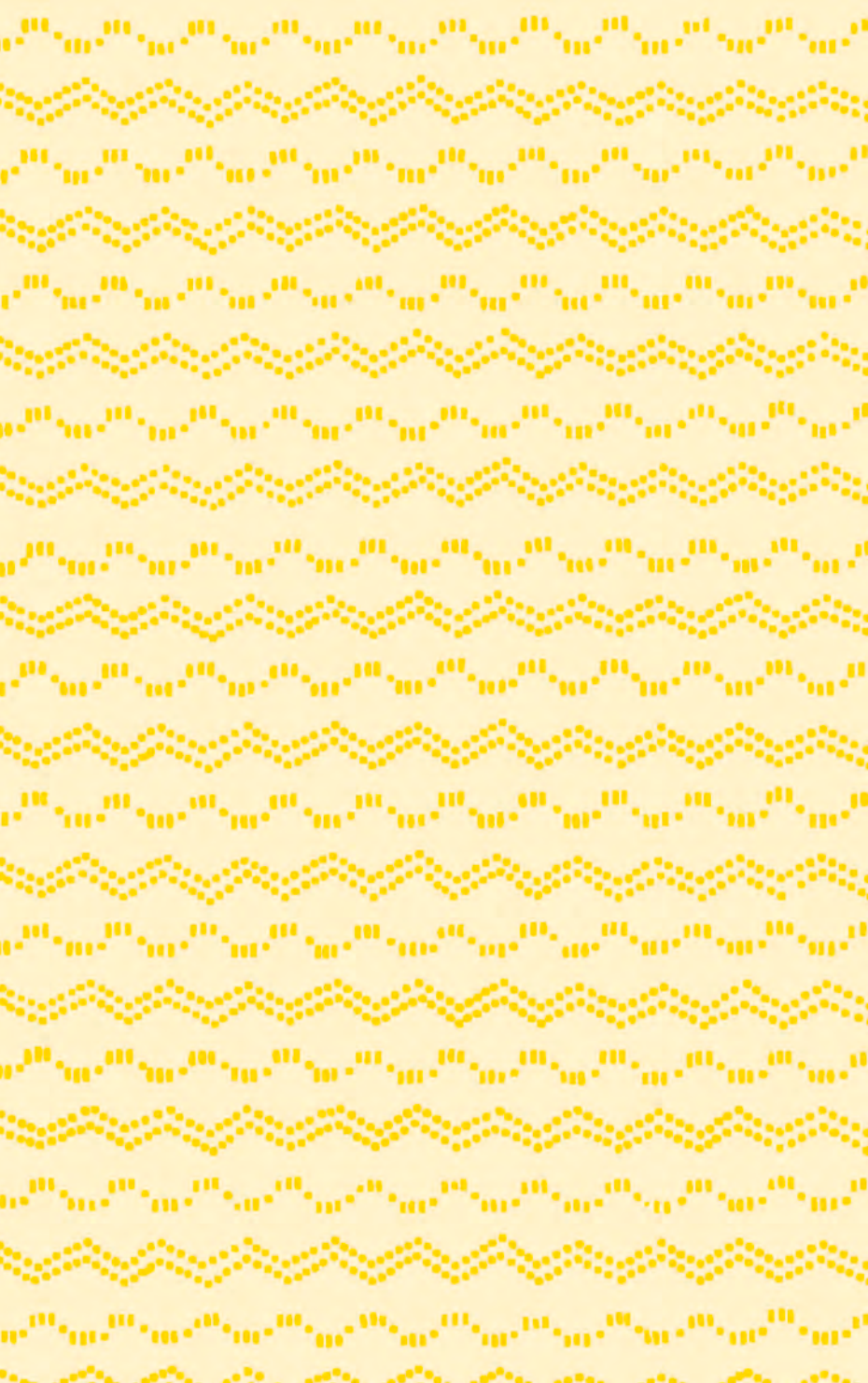
ki ogromnej przygody, sygnały odległego, apokaliptycznego tętentu koni, północno-wschodniego wiatru, podboju przemysłowego i zbrojeń międzynarodowych; epoka przygody, kiedy to wynaleziono gramofon, tanie sposoby podróżowania, telefon i dywidendy fabryk produkujących na potrzeby wojenne, a świat w dziecięcym podnieceniu i ze świadczącym o braku rozeznania entuzjazmem popatrywał poza mieszczański horyzont, do którego nawykł, podobnie jak drabanci Olda Shatterhanda spoglądali w kierunku widnokregu wypchanego skarbami. Było w tej cywilizacji u początku wieku coś z charakteru Dzikiego Zachodu, coś karolmayowego, jakaś ubrana w bluzę jegra awanturniczość, którą w jednakowym stopniu wyczuwało się w polityce i społecznych umowach, w przemyśle i sztuce, w filozofii i rozwoju techniki komunikacji. Świat, węsząc, śledząc spod przystawionej do czoła dłoni, z romantycznym pragnieniem ekscytującej wyprawy, które podgrzewały już maszyna parowa i silnik spalinowy, z przyjemnym dreszczem, nabożnie i chciwie, trzęsąc się jak w febrze, przeczuwał przygodę. Taki sukces, jak ten Karola Maya, nie był przypadkowy. Ludzie nie kupują bez powodu książek jakiegoś pisarza w siedmiu milionach egzemplarzy i podobnie jak Dickens oddał dokładnie te poglądy i atmosferę wiktoriańskiej Anglii, których od niego oczekiwano, tak też Karol May dał wilhelmińskiej Europie Środkowej przeżycie przygody, w którym były gaz rozkoszy i skalp, odległość i ukryty skarb, rycerskość i obdzieranie człowieka ze skóry, wydestylowane ideały, egzotyczne możliwości; ale ze wszystkim tym łącznie była to przygoda, dlatego działała. Wykombinowano ją w Lipsku, jednakże akcja rozgrywała się na pampasach powszechnej aktualnej tęsknoty. Przed wpły-

wem i siłą przyciągania tej przygody nie sposób było się uchronić.

Tym smutniejsze, jeśli nawet nie w pełni niezrozumiałe, jest wielkie otrzeźwienie, które nastąpiło po tej słynnej na cały świat przygodzie, a które pogrzebało w dole z wapnem również Winnetou. Karol May nie jest już „towarem”. Jego dzieło zostało zabite przez rozczarowanie, powieść fantastycznonaukową, sport, szczegółową znajomość pomniejszonego świata; Winnetou zabiła skwaszona trzeźwość przenikająca rozczarowane dziecko tej epoki – boimy się egzotycznych bohaterów, nawet wówczas, gdy zwyciężają. Ta epoka otrzeźwiała z przygody i wie, z gorzkim wyczuciem rzeczywistości, że prawdziwa powieść grozy to nie spotkanie Kary Ben Nemziego z wodzem czerwonoskórych na zachodnich polach, lecz na przykład nędza i zmagania robotników rolnych, pracujących na południowoamerykańskich pampasach, z białolicymi wodzami prymitywnego feudalizmu albo walka dziesięciu milionów bezrobotnych dalekiego zachodu z pewnym systemem gospodarczym; wie, że przebiegłość Winnetou i okrucieństwo Indian Irokezów nie dotrzymują kroku okropnościom i dyplomatycznym sztuczkom hiszpańskiej wojny domowej, wie, że rzeczywistość potrafi być tak awanturnicza, tak nie do uwierzenia, tak indiańska i stawiająca włosy na głowie, że Oldowi Shatterhandowi nigdy się nawet nie śniło o takiej przygodzie. Karol May, autor książek sprzedanych w nakładzie siedmiu milionów egzemplarzy, nie jest już lekturą dla dzieci tej epoki; Winnetou stał się szarą postacią, otrzymującymienne wynagrodzenie urzędnikiem i filistrem przygody, jeśli porównać go z bohaterami społecznych i politycznych powieści przygodowych prezentowanych w codziennej

prasio. To otrzeźwiałe pokolenie wie, że nie ma przecież bardziej niedorzecznej przygody niż to, by w pojedynku Cnoty i Zła być szeregowym żołnierzem na wyasfaltowanych pampasach Europy, wie, że Hadżi Halef Omar żyje znacznie bezpieczniejszym życiem na stokach Turkmenistanu aniżeli europejski mieszczanin, obywatel, który swoje życie ze stałą pensją naiwnie przeżywa w aktualnym rozdziale powieści grozy o wyścigu zbrojeń. Bohater powieści przygodowej to dzisiaj jedno i drugie miasto, które z dnia na dzień giną, albo też ludzkość, która z podniesionymi rękoma poddaje się barbarzyńskiemu, białoskóremu fatum – a przebiegli czerwonoskórzy zostali z tyłu w tym wywołującym ciarki na plecach wyścigu. Biedny Winnetou! Nikomu już nie jest potrzebny. Oskalpował go czas, który jest dużo bardziej awanturniczy aniżeli wszystko, co kiedykolwiek hurtem wyśnił sobie autor powieści grozy.





*Kronika Niedzielná* to autorski wybór felietonów Sándora Máraiego, publikowanych od 1936 do 1943 r. w cenionym budapeszteńskim dzienniku „Pesti Hírlap”.

Na jego łamach, tuż przed wybuchem i w pierwszych latach II wojny światowej, pisarz dzielił się z czytelnikami swymi obserwacjami i refleksjami dotyczącymi bieżących wydarzeń politycznych oraz przemian społecznych. Podejmował tematy, z których wiele jest żywych i aktualnych do dziś. Stawiał pytania o los Europy. Czy przetrwa lub odrodzi się „duch europejski”? Co czeka małe państwa po zakończeniu wojny? Czy dojdzie do podziału kontynentu na Wschód i Zachód?

Pisał o problematyce eutanazji, o roli i randze pisarza w społeczeństwie, o prawdziwym i fałszywym patriotyzmie, o emigracji...

Jego rozważania są, jak zawsze, szczere, wnikliwe i ponadczasowe.

ISBN 978-83-07-03452-2



9 788307 034522

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

DOSTĘPNA TEŻ JAKO

**E-BOOK**